

Danuta Jurczyk, Dominika Łarionow

ZAŁOŻENIE BYŁO TAKIE, ŻE OSIEDLIMY SIĘ TU NA KRÓTKO

ROZMOWA

Kiedy rodzina Jurczyków przyjechała do Krzywca?

W 1946 r. przyjechaliśmy z okolic Wilna, Mołodeczna, czyli z terenów, które obecnie należą do Białorusi. Za pozostawione tam mienie dostaliśmy możliwość wyboru domu, gospodarstwa. Przyjechaliśmy w kilka rodzin, to były całe klany. Każdy miał osobne dokumenty, na podstawie których otrzymywał gospodarstwo.

Dlaczego nie pojechaliście na tzw. Ziemie Odzyskane?

Nasza rodzina zatrzymała się w Białymstoku, ale rodzina mojego wujka, brata mojej mamy, przyjechała do Łodzi. To był zwiad, bo szukali jakiegoś gospodarstwa. Założenie było takie, że osiedlimy się tu na krótko, bo wszyscy myśleli, że z powrotem wrócą pod Wilno. Przy innym założeniu nikt by takiego gospodarstwa tutaj nie brał. Reszta rodziny mojej mamy osiedliła się w Gdańsku, Zielonej Górze, Poznaniu. W Mołodecznie było wielkie gospodarstwo i za nie prawo do ziemi w Polsce dostała rodzina Dowgiałłów, moich dziadków, i dostała moja mama, i dostała jej siostra, czyli Szwarcewiczowa. To świadczy o dużym majątku pozostawionym pod Wilnem. Nikt nie mierzył, czy był to ekwiwalent. W wyniku podziału jednego rodzinnego gospodarstwa cała rodzina dostała możliwość zajęcia kilku gospodarstw poniemieckich. Moja mama dostała 5 ha, gdzie teraz mają Okupscy. Była tam nieurodzajna ziemia, a ten czas był, kiedy trzeba było oddawać kontyngent, zboże i trzodę. Z tego względu ta ziemia została pozostawiona i przeszła na własność Skarbu Państwa. A ja przegapiłam sprawę w latach osiemdziesiątych. Mogłam to odzyskać, bo są papiery na to.

A czy przyjazd do Krzywca był dla rodziców rozczarowaniem?

To było rozczarowanie i cały czas myśleli, że wrócą do siebie. Było to trudne szczególnie dla mojej babci, która była szlachcianką i pochodziła z bogatej rodziny. Była to mama mojej mamy. Jej rodzina miała dwór, służbę. Moja babcia urodziła dzieci: wujka Dowgiałłę, wujka, który był potem w Warszawie, moją mamę, ciotkę Szwarcewiczową i była jeszcze ciocia Teresa. Babcia miała dwie niańki do swoich dzieci, osobne na dzień i na noc, sama się dziećmi nie zajmowała. Jak jeździła na zabawy jako panienka, to miała w torebce nawet mały pistolecik.

A jak babcia się nazywała?

Babcia z domu była Downar. Mamy brat, który osiadł potem w Warszawie, skończył jeszcze przed wojną prawo na Uniwersytecie Lubelskim. A ponieważ nie zapisał się nigdy do partii, to po wojnie nie zrobił żadnej kariery. Szczególne też są losy mojego wujka, Mieczysława Dowgiałły, ojca Alicji Grochulskiej, który miał przedwojenną maturę. Mógł w ogóle się nie wiązać z gospodarstwem, ale nie chciał, bo była w nich wtedy wielka wiara, że za kilka lat wszystko się odmieni i oni wrócą na swoje ziemie. Wuj myślał, że wróci do Wilna i pójdzie pracować do urzędu skarbowego, tak jak było przed wojną. Mama miała małą maturę przed wojną, tata miał średnie wykształcenie, bo pracował jako naczelnik poczty w Mołodecznie. Historia mojego ojca to zawsze był temat tabu, bo cały czas był w tej rodzinie strach. Nazywał się naprawdę nie Adam Jurczyk, ale Jużyk, i siedział w więzieniu w Ostaszkowie wraz z innymi polskimi oficerami. Udało mu się uciec, ale zmienił nazwisko i miał wszystkie dokumenty podrobione, włącznie z datą urodzenia itd. Po wojnie wyjechał, ale cała jego rodzina została. I potem kontakt był z nimi tylko sporadyczny. Ojciec bardzo się bał, nie chciał nikomu robić kłopotu. Dokumenty na zmienione nazwisko załatwił mu znajomy jeszcze sprzed wojny, który nazywał się Markowski. Pracował on w takiej instytucji, że mógł „legalnie” przygotować papiery sfalszowane. Masa ludzi miała takie sytuacje. Przecież jak wtedy ten Szwarcewicz Romek zabił tego akowca w lesie, to tata wpadł w popłoch. Miał jeszcze wtedy swoje prawdziwe dokumenty, to wszystko od razu spalił, bo się bał, że mogą przyjsć...

A jaka to była wieś?

To była wieś zamieszkała przez większość niemieckich rodzin.

Co się z nimi stało?

Na przykład Adolf Omet, nasz gospodarz, który mieszkał tutaj ze swoimi rodzicami i bratem. W 1946 r. nikogo już nie było z tej rodziny. Adolf walczył pod Piotrkowem Trybunalskim po stronie niemieckiej. Pod koniec wojny został ranny, granat urwał mu rękę. Po wyzwoleniu przyjechał do Krzywca. Zobaczył, że my jesteśmy. Mój dziadek, bo wtedy jeszcze żył, powiedział: „Panie Omecie, dzielimy podobne losy. My musieliśmy zostawić wszystko na Wileńszczyźnie i się spakować. Pana była ta posiadłość w Krzywcu. Proszę zabrać wszystko, co zostało tu schowane lub po prostu ukryte”. Adolf wtedy został w stodole i prawdopodobnie miał coś tam, bo gdy wyjechał, widoczne były ślady kopania. Wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Faktycznie do Krzywca początkowo ciągle ktoś z tych Niemiec przyjeżdżał albo z rodziny, albo dzieci i wnuki do każdego gospodarstwa w odwiedziny zobaczyć. Czasem fotografowali. A moja mama zawsze się zastanawiała, jak nasz Omet żyje. Wszyscy na wsi mówili, że przyjechali Niemcy do Powalskich, do Kołodziejczyka, do Romaniaka, do kogoś tam, a do nas nie. No i kiedyś... To była jesień, we wrześniu były wykopki, przyjeżdża ktoś taksówką. Rodzice patrzą, a to ich Niemiec. On też nie był pewny, czy oni tu nadal mieszkają, i sobie zamówił hotel w Łodzi. Rodzice mu nie pozwolili zostać w mieście, bo rozumieli, jaki to sentyment dla niego wrócić na to miejsce. Został wtedy na tydzień. Potem jeszcze raz przyjechał i wtedy zaproponował, żeby tata pojechał w odwiedziny do niego w dowód wdzięczności, że my tak z sercem go przyjęliśmy. Tata bał się jechać do Niemiec, bo już był w podeszłym wieku. Omet mnie zaprosił i pojechałam w 1978 r. do Hamburga na dwa tygodnie.

Co o nim wiesz?

Jak pojechałam, to on już był emerytem. W Hamburgu pracował zawodowo, miał mieszkanie, ożenił się i miał córkę. Niestety to małżeństwo się rozpadło, nie mieszkał z żoną, ale miał przyjaciółkę. I zachował się bardzo

elegancko, żeby nie było problemów w związku z moją wizytą u niego jako samotnego mężczyzny. Zorganizował mi pobyt u jego przyjaciółki. To były inne czasy niż dzisiaj. Niemcy były podzielone na dwa osobne kraje: Niemiecką Republikę Demokratyczną, z rządem partii komunistycznej, i kapitalistyczny RFN. Omet był przygotowany i powiedział, że jeżeli zechcę, to mogę zostać w Hamburgu. Praca dla mnie była załatwiona i wszystko. Nie zostałam, wróciłam do Polski. Potem jeszcze raz przyjechał, bo chciał bardzo, żebym nawiązała kontakt z jego córką. Byłyśmy w takim samym wieku. Córka należała do młodego pokolenia, oderwanego od historii swoich przodków, wyszła za jakiegoś Azjatę. To małżeństwo niestety się rozsypało. Jak Omet umarł, to kontakty się urwały. Wtedy w Hamburgu byłam niezwykle ugoszczona, oprowadzona po mieście i okolice. Jadąc tam, zastanawiałam się, co mogę mu podarować w prezencie. Mielśmy wtedy od strony gospodarstwa Kołodziejczyka taką jabłoń, którą jeszcze on zasadził. Zawiozłam mu te jabłka. Omet się rozplakał, miał sentyment do Krzywca i do tej ziemi.

To piękna opowieść... A jaka jest rodzinna opowieść o przyjeździe do Krzywca?

Rodzice i dziadkowie nie mogli się pogodzić z tym, że to były dla nich gorsze warunki niż mieli w Mołodecznie. Przed wojną planowano, że tam we dworze i w majątku jedynie moja mama i ciocia Szwarcewiczowa miały pozostać w przyszłości. Reszta rodziny była wykształcona i pracowała w urzędach. Cała rodzina mojej mamy była wykształcona, kuzynostwo było po wyższych studiach. Mama tutaj nie mogła się odnaleźć, nie miała z ludźmi wspólnego języka. Później już musiała się zaaklimatyzować. Na owe czasy dom, który rodzina przejęła po Omecie, nie był zły. Był murowany, ceglany, a tam mieli dom duży, ale drewniany. W Krzywcu były bardzo dobre warunki. Obo- ra była murowana i dwie stodoły drewniane. Obejście było dobre, nie to co u Dowgiałłów, gdzie był ten domek mały słomą kryty. Szwarcewiczowie osiedlili się w domu z cegły. Losy tamtej siostry, która przyjechała tutaj jako pannenka... Muszę się zapytać kuzynki, jak ona poznała Szwarcewicza, wdowca, który miał trzech synów, a żonę zabili Ruscy. On z dziećmi zdążył uciec do lasu, a żona została w domu i tam została zabita. Tutaj przyjechał jako wdowiec z trzema synami. No i zapoznał się z moją ciocią, no i się poženili. Potem jeden z synów Szwarcewicza zamordował w lesie akowca.

Dlaczego?

To było do końca owiane tajemnicą. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Tego akowca gdzieś z Łodzi przywieźli do Krzywca. Akowiec nocował jedną noc, a potem poszli na Stawki i tam został zastrzelony. Roman Szwarcewicz sam zameldował się na milicję. Mój ojciec znał całą prawdę o tym zabójstwie, ale nigdy się o tym w domu nie rozmawiało. Roman siedział w więzieniu, a jak wyszedł z niego, to psychikę miał zniszczoną. To był inteligentny, mądry człowiek, a potem to była tylko ucieczka w alkohol. Zdzisław Szwarcewicz w swoim gospodarstwie hodował gruszki, miał bardzo dobre, takie małe pierdziołki. Szkoda, że człowiek jako młody nie dociekał... Nie pytałam nikogo... zresztą wszyscy bali się przekazywać dzieciom. Pamiętam jak przez mgłę, jak to się stało... Bo to zabójstwo było w latach pięćdziesiątych, jak ja już byłam na świecie. Pamiętam jak przez mgłę... Rodzice coś mówili, że tutaj zostali rozstrzelani Niemcy, w szopie mieszkali, ale nie wiem dokładnie. Była szopa, która spłonęła. Nie wiem, czy ktoś ucierpiał w tym pożarze. Wszyscy Niemcy, którzy mieszkali przed wojną i w czasie wojny, wyjechali. Nie wyjechali razem, tylko partiami – każdy się zbierał, pakował i wyjeżdżał. Najpóźniej wyjechała Różycka. W szkole też mieszkał Niemiec i on wyjechał do Bogatyni. Było wtedy chyba 29 gospodarstw. Jakubczyk, Bełdowski mieszkali w Krzywcu jeszcze przed wojną, czyli ze wsi nie wszyscy wyjechali. Polacy, którzy tutaj byli, zostali. Moja mama mówiła, z lekkim przekąsem, że zanim przejęliśmy to gospodarstwo, to miejscowi fornale wszystko z niego wynieśli. Odnosiła się tak do tych, którzy pracowali w majątku Rszew. Rodziny Kołodziejczyków, Janczaków przyjechały zza Buga. Teraz żyją potomkowie tych rodzin i wszyscy cały czas mieszkają blisko siebie. A moja mama po całej przeprowadzce do Polski bardzo ubolewała, że część jej rodziny osiadła w Gdańsku, druga część w Zielonej Górze, w Poznaniu, w Warszawie. Nie było nakazu osiedlenia się w danym miejscu, tylko tak jakoś wyszło, że jedni tutaj, drudzy tam. I w ten sposób rodzina, która pod Wilnem mieszkała blisko siebie, po 1946 r. zamieszkała na dwóch różnych krańcach kraju. Kuzynostwo mojej mamy uznało, że jako inżynierowie będą mieli pracę przy odbudowie stolicy, dlatego się tam osiedlili. A moja mama i jej rodzice cały czas myśleli, że są w Krzywcu na chwilę i zaraz wrócą do swojego majątku. A kiedy się już

wszyscy zorientowali, że nigdy to się nie stanie, to było za późno, aby się przenieść ze wsi do miasta. Jednej rzeczy w tych wyborach moich rodziców nie rozumiem. Tata mój nigdy nie miał nic do czynienia z gospodarstwem, a moja mama była panienką z dworu. Na gospodarstwie się nie znała, może trochę pomagała, ale zdecydowanie to nie było jej zajęcie. W majątku mieli parobków i fernali do pracy, nikt z mojej rodziny nie pracował w polu. Może dlatego moi rodzice do mnie i do brata cały czas mówili, że mamy się uczyć, aby nie pracować tak jak oni. Mama w domu rodzinnym tylko sporadycznie pomagała w gospodarstwie, a po wojnie w Krzywcu to naprawdę trzeba było pracować. Mieli krowy, hodowali ziemniaki, warzywa. Jeździli na rynek i sprzedawali. Mieliśmy jeszcze 5 ha na Stawkach, ale nie pamiętam, w którym roku mama z tego zrezygnowała. Teraz bym była bogata. Z tego gospodarstwa utrzymywała się cała rodzina, czyli dziadek i babcia, którzy już nie pracowali. Należy pamiętać, że nie było emerytury dla rolników. Mamy siostra skończyła studia, brat skończył studia, trzeba było zapłacić w Łodzi za mieszkanie, bo nie mieli możliwości dojeżdżania z Krzywca do miasta. Jaka to była wieś... U Powalskich wszyscy wykształceni. W Krzywcu mieszkali ludzie, którzy chcieli się dalej rozwijać, iść do przodu. Rodzina Mereckich wychowała dwóch lekarzy. Tyle ludzi się wykształciło z takiej małej wsi, bo nauka w czasach powojennych była bardzo ważna.

A to była biedna wieś?

Pamiętam chałupę Zosi, mojej koleżanki ze szkoły. Była drewniana, słomą kryta. W chałupie nic prawie nie było. Zosia kiedyś przez dwa tygodnie chleba nie jadła, taka była tam bieda. Starszy brat Zosi miał zdolności artystyczne, ładnie malował. Nauczyciel Dychtalewicz załatwił mu szkołę z internatem w Łodzi, by się dalej kształcił i może nauczył się jakiegoś zawodu, ale niestety ojciec chłopca stwierdził, że nie ma kto w polu pracować, pojechał po syna i zabrał go ze szkoły. Wszyscy na wsi hodowali kury. Cały tydzień się zbierało jajka, a w sobotę się zawoziło do Konstantynowa Łódzkiego na rynek. Moja mama odstawiała do sklepu Morawińskiej, a Powalska do Kamockiej. Ojciec Zosi odstawiał na rynek. Najbogatsze gospodarstwo to było Powalskich. Było duże, do lat pięćdziesiątych liczyło ponad 20 ha. Potem państwo im zabrało. To było rozkułaczanie.



Wycieczka do Krakowa mieszkańców Krzywca i okolic, lata 50. XX wieku



Wycieczka do Wieliczki mieszkańców Krzywca i okolic, 1956 r.

A jak repatrianci zostali przyjęci w Krzywcu przez Polaków, którzy tutaj się osiedlili?

Żle. W szkole mój brat był szykanowany, bo mówił z akcentem. Rodzice też mówili z akcentem, mama mówiła z zaśpiewem. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że rodziny, które tutaj przyjechały, były postrzegane jako Ruscy, ponieważ po 1945 r. w nowych dokumentach każdy miał napisane miejsce urodzenia ZSRR, a wszyscy byli urodzeni w przedwojennej Polsce. Ale na całe szczęście nie byli sami. Bo do Krzywca przyjechało kilka rodzin: my, Szwarcewiczowie, Dowgiałłowie, Mereccy, Duchowscy. Tyle rodzin.

Trzeba było się zaaklimatyzować i trzeba było się tolerować. Zawsze to podkreślam, że o ile na początku wyzywano od Ruskich czy zabugowców, o tyle potem była to bardzo solidarna wieś. Tutaj było tak, że jak w jakimś gospodarstwie zachorowała krowa, to cała wieś wiedziała. Mój tata zawsze miał całą półkę lekarstw weterynaryjnych i dlatego mieszkańcy przychodzili do nas; jak krowa się wzdęła, to ojciec miał jakieś leki, które rozpuszczało się w wodzie. No i moja babcia nauczyła się robić zastrzyki, a potem tata. No i jak było potrzeba, to chodzili po wsi i robili zastrzyki ludziom. Bańki też stawiali. Mieszkała np. taka Trelowa i ją często korzonki bolały, miała zawsze przepisywane zastrzyki przeciwbólowe czy witaminę B. Tata prawie bez przerwy chodził jej robić zastrzyki. To nie była wtedy prosta sprawa, bo strzykawkę trzeba było wygotować w rondelku. Mój tata na wsi stał się takim domorośłym weterynarzem i lekarzem. Czasami w nocy się krowa cielili. Jedna rodziła lekko, ale też zdarzało się, że trzeba było pomagać. To szła pomagać cała wieś. Kiedyś u Kołodziejczyka to 11 osób było w nocy, bo usiłowali wyciągnąć cielaka. Zresztą my z nimi mieszkaliśmy obok siebie. To ojciec często mówił, że idzie do Kołodziejczyka, bo go nie widział od rana na podwórku, to idzie sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. I odwrotnie też się zdarzało. Była taka wzajemna życzliwość sąsiedzka i zainteresowanie. Teraz tego nie ma. Chociaż na tym osiedlu pod lasem, od strony Żabiczek, jest większa solidarność sąsiedzka. Tam mieszka moja kuzynka Alicja Grochulska, to wiem, że sąsiedzi pytają, czy jej nie trzeba pomóc. Być może to wynika z topografii, bo tam jest dom przy domu. U nas jest nieco inaczej.

A jak zmieniła się wieś przez te lata, które przeżyłaś w Krzywcu?

Może droga by była dobrą metaforą. Bo była gruntowa i każdy gospodarz musiał dbać o jakiś jej kawałek. Potem była szlaka, która jak się człowiek przewrócił, to się wbijała w skórę i tkwiła długo. Aż w końcu nastał asfalt, który uległ stopniowej degradacji... Były dziury łatanie sporadycznie, miejscowo... Aż cała droga została wymieniona i teraz jest prosta, równa, płaska. Kiedy była szlaka, to wszyscy chodzili piechotą do tramwaju, który jeździł po drodze z Konstantynowa Łódzkiego do Lutomierska. Jak się przeszło przez Żabiczki na przystanek, to latem trzeba było mieć mokry ręcznik w torbie, by obetrzeć nogi po tej długiej pieszej wycieczce. Na wsi też wszystko się zmieniło w 1976 r., kiedy pojawiły się emerytury dla rolników. Przedtem tego nie było, rolnik musiał pracować do śmierci.